№ 38. Warszawa, dnia (11) 23 Września 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . **rs. 1**
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*
7 przesyłką pocztową: kwartalnie . **rs. 1.25** półrocznie . „ **2.50** rocznie . . „ **5.—**
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie** Kwartalnie **flor. 1.80,** Na prowincyi **flor. 2.20.** **w Poznaniu** kwartal. **mr. 3**, na prowincyi **3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60** lub walutą zagraniczną podług kursu. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy: **Księgarnia Polska Wiktora Templowicza** w Poznaniu Hotel Francuzki. **Zmiana adresu kop. 15.**

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** **„Nadesłane“** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał czwarty roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Wanda otworzyła usta, aby coś powiedzieć; zaniechała wszakże zaraz tego, i wzruszywszy ramionami, znów w odrętwienie zapadła.

Cieński natomiast rozwijał niewyczerpane zasoby energii i wymowy.

— Nie wątpicie już zatem — krzyczał, zapominając o umowie i wciąż do żony przez „wy” przemawiając — że przerodzenie się ziemi jest tylko kwestyą czasu, i to prawdopodobnie czasu niedługiego. Nie wątpicie o tem, ale — nie zdaliście sobie jeszcze sprawy z następstw tego olbrzymiego faktu. Tymczasem następstwa te, dla umysłów genialnych, widoczne są już dziś i tak pewne, jak wynik działania matematycznego.

Usiadł i gorączkowo rękami wymachując, kreślić zaczął obraz fantastyczny, w którym nauka i bajka, rzeczywistość i cudowność najdziwaczniej splatały się ze sobą.

Owa „korona biegunowa” sprawi skutki zadziwiające — przedewszystkiem pod względem klimatycznym. Najzimniejsze i najniepogodniejsze miejsca na ziemi, staną się, dzięki temu, rajskimi zakątkami o niebie pogodnem i temperaturze łagodnej. W pasie umiarkowanym, mgły i burze gwałtowne staną się zjawiskiem zgoła nieznanem, a Ochock nawet i Jakuck będą cieszyły się przez osiem lub dziewięć miesięcy w roku najpiękniejszą pogodą...

Następnie to elektryczno-magnetyczne zjawisko przekształci całkowicie skład chemiczny wody morskiej. Woda ta mianowicie, pod działaniem „podbiegunowego kwasu cytrynowego” (!) pozbędzie się cząstek „smołowcowych” (!) i nabierze smaku kwaskowosłonawej limoniady. Wówczas nie trudno przyjdzie odsolić ją i odkwasić, poczem niczem już nie będzie się różniła od wody słodkiej rzek i jezior.

Rozumie się, że ocean, wypełniony wodą słodką, napełni się stworzeniami całkowicie odmiennemi od dzisiejszych. Znikną szpetne drapieżne potwory, zohydzające dotąd jego głębiny; toń morska przestanie być tajemniczą areną wzajemnych dławień się, rozszarpywań, unicestwień. Piorunujące działanie prądu biegunowego zgładzi w jednej chwili cały ten świat, będący żywym symbolem ludzkich namiętności.

Aby jednak przy tej ogólnej zagładzie nie wyginęły stworzenia niewinne i użyteczne, człowiek zawczasu przeniesie je gdzieindziej i zabezpieczy. Posłużą na ten cel wielkie, przez przyrodę utworzone „baseny” wody słonej, jak naprzykład: morze Kaspijskie, gdzie zostanie pomieszczona potrzebna ilość śledzi, sardynek, stokfiszów, ostryg i t. p.

Długo jeszcze Cieński rozprawiał w ten sposób, tonem to deklamacyjnym, to profesorskim, jakby wykładał lekcyę z katedry. Wanda zawiedziona, oszołomiona, smutkiem i żalem przejęta, siedziała w milczeniu, z przymkniętemi oczyma, nic nie rozumiejąc i nie starając się zrozumieć—a głos męża, łącząc się z pluskiem deszczu za oknami, działał na nią, jak jednostajny szum morskiej fali.

Szumem tym rozmarzona i jakby zahipnotyzowana wpadła w rodzaj letargu, który przeciągnął się dość długo.

Gdy ocknęła się z niego wreszcie, w pokoju nie było już nikogo.

Czuła nadzwyczajne rozdrażnienie; uczucie gniewu, wstydu i jakby doznanej zniewagi

wstrząsało jej nerwy; była blizka płaczu i spazmów.

Zacięła silnie zęby, i z głębszą niż zwykle zmarszczką pomiędzy brwiami przeszła do swego pokoju. Do szklanki z wodą wsypała jeden z proszków wyjętych z pudełka, szybko napój wypiła i rzekła głucho:

— Nie! z tej strony niczego, nigdy spodziewać się nie mogę!..

Potem zwróciła rozpłomienione oczy na swe książki naukowe, wyglądające z oszklonej szafeczki, i wyciągnęła do nich ręce ruchem prawie miłosnym...

— Wy jedne — zawołała z uczuciem — nie sprawicie mi zawodu. W was jedynych obecność moja i przyszłość, życie i szczęście moje!

Cieńskiego opanował i opętał „furyeryzm.” Nauka Fouriera znana mu była w głównych zarysach jeszcze ze studyów uniwersyteckich w Heidelbergu, tam jednak okazywano mu ją w świetle tendencyjnem, z góry do niej uprzedzając i odbierając chęć do bliższego jej zbadania. Teraz dopiero duch tej nauki objawił mu się w całym blasku, a ten blask na jego ruchliwą, niespokojną, wiecznem łaknieniem zmiany trapioną, duszę oddziałał, jak zapalona lampa na ćmę.

Stało się to zaś prawie przypadkiem.

Nabrawszy upodobania w zwiedzaniu paryzkich *cafés* (trudno nazywać je po polsku wprost „kawiarniami,” gdyż prócz kawy, wiele innych rzeczy znaleźć w nich można), czynił przy tej sposobności przeróżne, bawiące go niezmiernie, odkrycia. W tych gospodach, rozsianych gęsto po jednej i po drugiej stronie Sekwany, lęgły się wszystkie rzeczy osobliwe, z których niejedna wstrząsnęła następnie całą Francyą i całą Europą, a niekiedy i jakiś przewrót społeczny spowodowała.

W owych latach, bardzo nam zresztą blizkich, paryzkie *cafés*, podobnie jak cały Paryż, a poniekąd jak cała twórcza, literacko artystyczna Europa, żyły przeróżnemi naśladowaniami, a raczej przedrzeźnieniami przeszłości. W jednych odbywało się wszystko jak za czasów Mürgera i jego „cyganeryi;” w innych urządzenie zewnętrzne i cały nastrój tchnęły ponurą, romantyczną średniowieczyzną; były takie, co chciały wskrzeszać epokę włoskiego Odrodzenia z jego kultem pięknego ciała i łatwej, materyalistycznej filozofii; były inne, nasiąkłe duchem staroindyjskich wierzeń i tajemnic...

Cieński próbował kolejno to tego, to owego „nastroju,” w żadnym szczególniej zasmakować nie mogąc. Przysiadał się do coraz innych grup, pijał naprzemian koniak i absynt, poncz i piwo, słuchał gorących deklamacyi wygłaszanych na zimno i zimnych rozpraw wygrzmiewanych z gorącym patosem, nigdy jednak po odejściu od stołu, przy którym siedziała rozprawiająca kompania, nie doświadczał ochoty powrócenia do niej.

Jednego wieczora, ta potrzeba ciągłych podrażnień zmęczonego i tępiejącego mózgu zaprowadziła go do jakiejś „nory“ oddalonej, ciemnej i otaczającej się nader dwuznaczną tajemniczością. Pociągnęła go właśnie owa tajemniczość.

Z początku trudno mu było zrozumieć: komu i czemu służy ta ciemna, do innych nie podobna, gospoda. Zauważył jednak, że oprócz ogólnej, przygodnym gościom służącej izby, znajdowały się tam pokoje odmykane tylko dla zaufanych i — wtajemniczonych. Przybywali oni, niezbyt licznie zresztą, o pewnej stałej porze, i dopiero po zamienieniu z gospodarzem zagadkowych słów i znaków, wpuszczani byli do tego lub owego z pokojów gościnnych.

Zagadka przybierała coraz inne kształty, i coraz bardziej drażniła niespokojnego męża Wandy. Usłyszał on raz w przyległym pokoju śpiew chóralny, pół światowy, pół nabożny i jakby obrzędom jakimś szczególnym towarzyszący. Kiedyindziej spostrzegł wnoszone do innego z pokojów przyrządy naukowe: tablicę czarną, wielki globus, modele machin i ręcznych warsztatów...

Najbardziej zaciekawiła go scena, dojrzana raz przez drzwi, które wypadkiem pozostawionono na czas dłuższy otwarte. W rzęsiście oświetlonym i malowniczo wyglądającym pokoju, dokoła wielkiego stołu, zobaczył tam kilkunastu mężczyzn różnego wieku, ubranych jednakowo a dziwacznie i odśpiewujących przyciszonym głosem modlitwę.

Wyglądało to na scenę teatralną, operową...

Każdy z mężczyzn miał na sobie krótką bluzę niebieską, ściśniętą paskiem z lakierowanej skóry, spodnie białe, na szyi zawieszony znak jakiś, włosy długie, starannie uczesane i spadające w kędziorach na ramiona, zarost ułożony i przycięty na sposób wschodni.

Towarzystwo obszedłszy procesyonalnie stół, ze śpiewami, zasiadło następnie na wyplatanych słomą stołkach i rozpoczęło nader ożywione rozprawy.

W krótce drzwi zamknięto, i Cieński nic już więcej dojrzeć nie mógł.

Pragnąc za jakąbądź cenę zbadać tajemnicę, starał się pozyskać względy gospodarza, w rozmowę z nim wchodził, pytaniami ubocznemi zahaczał, napiwki sute zostawiał na stole. Nic to wszystko nie pomagało, był to bowiem człowiek wyjątkowo małomówny, niedowierzający, ostrożny — choć zarazem dziwnie na franki łapczywy.

Po wielu a wielu straconych wieczorach Cieński oświadczył nareszcie milczkowi temu wręcz, że jeśli wprowadzi go do jednego z biesiadujących oddzielnie towarzystw, otrzyma wynagrodzenie.

— Ile?—zapytał „patron“ półgłosem, z odrętwienia wychodząc.

Cieński wymienił cyfrę dość wysoką.

— Mało... — mruknął tamten z taką miną, jakby wszelkim dalszym rokowaniom kładł koniec ostateczny.

Był to jednak tylko manewr spekulacyjny, wkrótce bowiem targu dobito.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Sprawozdania literackie.

Jan Nitowski: Poezye.

Wśród pojawiających się coraz częściej okazów dekadenckiej poezyi—dekadencką nazywam ją, bo nosi na sobie cechy jeśli nie zgrzybiałości, to przedwczesnego przeżycia, bo dźwięczy w niej ból dusz błądzących po bezmiarach mglistych, nieskończonych—dusz nie związanych z ziemią nicią miłości i nie dążących w górę, ku żadnemu idealnemu słońcu—poezyi smutnej, i odnośnie do społecznych celów i zadań stanowiącej pierwiastek rozkładowy — wyróżnia się bardzo jaskrawo tomik utworów, o którym właśnie mówić zamierzam.

Mamy dużo większych talentów, mamy ludzi umiejących lepiej, silniej, dźwięczniej, niż p. Nitowski wypowiadać swoje myśli i uczucia, swoje nastroje, melancholie i rozpacze, swoje wielostronnym sceptycyzmem zwątlone loty; ale jeśli w rzędzie artystów nie można dać mu jednego z pierwszych miejsc, to za to podnieść należy zdrowe, plenne ziarno jego myśli, silny, męzki dźwięk jego śpiewu i gorącą barwę jego uczuć.

W wieku, który małodusznie usuwać się rad przed cierpieniem, bólem, walką, w wieku, którego ideałem jedynym, rzeczywistym, najogólniejszym, jest spożywanie spokojne, poeta stawia apoteozę cierpienia, ukazuje rozkosz walki, pogardza szczęściem, bo w szczęściu poniża się duch, gnuśnieje—podnosi się, nabiera sił w walce, hartuje bólem. Myśl ta przewija się przez całą książkę. Spotykamy ją zarówno w dłuższych poemacikach, jak „Walka Tytanów,” albo „Ostatni dzień Arkony,” jak i w drobnych urywkach lirycznych, w wierszu „Na Golgocie,” „Do spokojnych,” „Kochaj!” i t. d.

W „Walce Tytanów” pod osłoną prastarego mytu dziejowego, przedstawił autor współczesne starcia i rozterki. Tytani chcą zburzyć tron Zeusa. Ducha walki podtrzymuje w nich matka ich, ziemia. „Niech wszelka słabość będzie przeklęta — mówi — kto w pośród walki do spokoju wzdycha, ten nie wart ciszy na mojem łonie.” Oceanidy, córki jednego z tytanów marzą o idealnej krainie szczęścia, o świecie piękniejszym niż Olimp, ale dążeń Tytanów nie rozumieją, w podjętej przez nich walce nie biorą udziału. „My waszych pragnień pojąć nie zdolne, myśmy przywykły kochać, marzyć, śnić, bujać w błękitach swobodne i wolne, bez trosk i cierpień żyć.”

Tytani podejmują bój rozpaczny, beznadziejny. Zeus prócz sług swych, „Dzieci nocy,“ wyprowadza przeciw wrogom swoim zastępy „Sturękich.“ Sturęcy, to bracia Tytanów, bracia, których oni przed wiekami zakuli w więzy. Zeus te więzy przeciął i Sturęcy rzucili się na braci, niosąc im odwet za krzywdy dawniejsze. Pokonanych Tytanów odprowadzają Sturęcy w otchłanie Tartaru.

Nad orszakiem tym rozlega się wyrok Przeznaczenia. Ananke mówi do Sturękich: „Dłu-

gie w pogardzie przespaliście chwile, i długo jeszcze żyć we wnętrzu ziemi w ciągłej ciemności musicie i czekać, aż Tytan moim posłuszny rozkazom, da wam zobaczyć Heliosa promienie.“ Nad głową Zeusa lata cichy, niemy Alastor, duch zemsty.

„Ostatni dzień Arkony“ przypomina treścią i nawet niektóremi wyrażeniami Lillę Wenedę. Nie potrzebuję dodawać, że to wspomnienie arcydzieła Słowackiego jest klątwą, nieszczęściem tego utworu. Mimowoli dusza czytelnika przenosi się w mglistą, czarownej melancholii pełną krainę Wenedów, i nie rada wraca szukać drobnych promyków piękna na kartach książki p. Nitowskiego. O ile jednak te promyki tam się znajdują, obowiązkiem naszym jest zaznaczyć je.

Fragment, w którym wróżka siedząca nad brzegiem morza, przemawia do wzburzonych jego fal, jest jednem z najpiękniejszych miejsc wspomnianego wyżej utworu.

„Lubię ten groźny, posępny ryk morza, majestatyczny jak jęki stuleci—mówi miniatura Rozy Wenedy—lubię szum wiecznie burzącej się fali, walczącej z wichrów północnych przemocą. Duch twój, jak wielkich ludzi duch, dotknięty dłonią brutalnej i nikczemnej mocy, dumny i wielki w swym bólu bez końca, zwolna zstępuje do własnej głębiny, i tam wytwarza śród powszechnej nocy nowe błękity i gwiazdy, i słońca... Kocham ciebie morze! Za to, że ludzie wciąż twych sił się boją, za tę dziewiczość, za tę dumę twoją, za twe głębiny kocham ciebie, morze!“

W „Ostatnim dniu Arkony“ podobnie jak w „Walce Tytanów“ jest apoteoza walki, ukochanie tragizmu, jest pogarda dla tych, co nad tytaniczne wysilki przenoszą ciszę, spokój, użycie poziome.

Najsilniej jednak te poglądy swoje wypowiada poeta w lirykach. W wierszu zatytułowanym „Na Golgocie“ Zbawiciel mówi do ludzkości: „Nie po tom przyszedł do was na męczarnie, abym wam stworzył jasne dni wesela... Nie potom włożył cierniową koronę, ażebym od was na zawsze oddalił wszystko, co piętnem bólu naznaczone... Jam przyszedł po to, bym waszym udziałem uczynił wieczne cierpienia tej ziemi, bo one zdolne uszlachetnić ludzi, i piersi ludzkie uczynić silnemi, bo w mękach życia, bo w wielkiej boleści rozkosz dla duchów cierpiących się mieści, bo w ogniu wielkiej boleści się spali wszystko, co podłe, natomiast się zbudzi moc ducha w głębi łon waszych drzemiąca.“

W wierszu p. t. „Kochaj!“ tak mówi poeta:

Patrz, stulistne kwitną róże
W cichym kwitną śnie:
Kochaj wichry, kochaj burze,
Róż nie kochaj, nie!

. . . .

Kochaj walkę straszną, długą,
Kochaj mężnych zgon,
Kochaj krew, co płynie strugą
Z poszarpanych łon.

Kochaj wielki jęk boleści,
Co się w niebo wzbił,
Kochaj głos, co tryumf wieści
Wiecznych ducha sił.

Najsilniej ta sama ukochana przez poetę struna zadźwięczała w wierszu „Do spokojnych.“

Biedny kto życia nie zaznał burz,
Kto przed cierpieniem trwożnie się chroni
Kto nie śmie usnąć wśród róż,
Aby nie drasnąć swej dłoni.

Biedny kto piersi przytłumia żar,
Do niebios lęka się wejść podwój,
Piekielnych lęka się mar,
Szczęścia i cierpień się boi.

To życie płazów, to skrzepły duch,
On nic nie zburzy, lecz i nie stworzy,
Światów nie wprawi on w ruch,
I senny w grób się położy.

Natężone uczucie wybucha nagle akordem potężniejszym, niżby się po talencie autora wogóle spodziewać można:

Orle, daj skrzydła, użycz swych piór,
Do jasnej niebios krainy wzlecę,
Stargam posępną pierś chmur
I w piekle pożar rozniecę.

Ja wiem co znaczy o szczęściu śnić,
Umiem ofiary piekłu wydzierać,
Ja was nauczę, jak żyć,
Ja was nauczę umierać!..

H. C.

Na manowcach...

Nie możemy pominąć milczeniem, czytanego przez nas przed paru tygodniami szczególnego bardzo co do treści, dyalogowanego odcinka, który utkwił nam w pamięci dlatego głównie, że wszystkie takie i pokrewne jemu wystąpienia mają swoje właściwe następstwa, zdaniem naszem całkowicie ujemne, przejawiające się w wyprowadzaniu na bezdroża pewnej ilości mniej krytycznych, a tem samem łatwowierniejszych czytelników.

Zaczniemy od streszczenia tego odcinka.

Autor, obyczajem raz na zawsze przyjętym, prowadzi spór ze swoim nieśmiertelnym słomianym człowiekiem, zadaje mu pytania, nie odrazu pozwala się przekonać interlokutorowi, ale w końcu zwalczony i przyparty niby do ściany, biada z nim razem, utyskuje i do współubolewania radby wciągnąć i tych, którym się ów odcinek z woli losu dostaje do ręki. Gdyby też nie to, że mu się taka suggestya w minimalnym chociażby zakresie udawać może, nie poruszalibyśmy rzeczy przed kilkunastu dniami napomkniętej, a więc na bruku warszawskim przedawnionej już niejako.

I feljetonista, i przyjaciel jego gorszą się plotkarstwem Warszawy, dzięki któremu puszczona w kurs tendencyjna potwarz, urasta u nas do rozmiarów niesłychanych, szerzy się, często przynosząc ujmę dobrej sławie ludzi zasłużonych, albo narażając na szwank ich materyalne interesa. Tym razem chodzi obu tym panom o te ostatnie. Powiedzmyż co się stało.

Oto przed miesiącem, lub nieco dawniej może, rozszedł się, jak twierdzi ów blizki znajomy feljetonisty, posłuch, że pewna firma bardzo, mówiąc gwarą handlową, solidna, chwieje się w swoich podstawach, że upadek jej jest blizki i nieunikniony. Firma ta trzymająca w Warszawie, ba! w kraju całym, berło w zakresie stroju niewieściego i tak zwanej „konfekcyi damskiej,“ stała w istocie i stać ma dotąd na podstawach niewzruszonych, co nie przeszkodziło jednakże, wedle wiadomości przez kronikarza zebranych, że domy zagraniczne, z którymi ona zostaje w stosunkach, hurtownie zaczęły ściągać informacye, że gotowe były do wypowiedzenia kredytu, bo pogłoski były szerzone złośliwie z wyraźną chęcią zaszkodzenia instytucyi mającej najsłuszniejsze prawo do przypominania na naszym gruncie tego, co Zola maluje pod nazwą: *Au bonheur des dames*, na gruncie paryzkim. Że się tym razem nic złego nie stało onej firmie, winni tylko to jesteśmy trwałym podstawom bytu, jakie taka instytucya w ciągu lat kilkunastu wywalczyła—w przeciwnym razie... wolimy nie poruszać tego, co byłoby w razie przeciwnym. Strach pomyśleć!

Zrazu w dyskusyi między tymi panami było tak, że sam feljetonista był zimny i trzymał się na stanowisku odpornem—tak dalece nawet odpornem, że go argumentem pierwszym mówca nie przejednał wcale. Argument zaś ten polegał na uznaniu należnem firmie za użycie wyborowych materyałów, z jakich ona wzniosła nowy gmach dla pomieszczenia swoich pracowni i sklepów, i na ostatnim wyrazie ulepszeń wentylacyjnych, jakimi się gmach rzeczony odznacza. Dopiero jak przyjaciel zaczął przekonywać innymi dowodami, ztwierdzającymi dodatnią działalność firmy, kiedy wystawił jak na dłoni korzyści, jakie społeczeństwo ciągnie z tego, a jak się domyślać wolno i innych podobnych zakładów, jak dał obraz wyglądu zewnętrznego jego licznego żeńskiego personelu, jego materyalnych zarobków i innych korzyści, pozwolił się nakoniec i sam feljetonista przejednać. I tym razem podzielił oburzenie przyjaciela na plotkarstwo warszawskie, na nikczemność pobudek, z jakich wypłynąć musiała insynuacya — pobudek zapewne konkurencyjnej natury, a zatem odnośnie do zakładu oddającego społeczeństwu usługi—niemoralnych w całem znaczeniu tego słowa.

Firmy nie wymienia kronikarz, więc nie nazwiemy jej na domysł i my w tem miejscu, a nawet domysły same uważamy za całkowicie w tej sprawie zbyteczne. Założenie nasze obejdzie się całkowicie bez wskazywania palcem, wymieniania nazwisk zarówno firmy, jak jej obrońców—i feljetonisty i jego niby przyjaciela, zwłaszcza że co do istnienia wogóle tego ostatniego, żywimy nader poważne wątpliwości. Autor uważa widać tego rodzaju ścieranie się w druku opinij jako nadzwyczaj efektowne, i rad się w swoich enuncyacyach posługuje tą metodą — ani nową zresztą zupełnie, ani skuteczniejszą od wszelkiej innej. Obrona dobrej sprawy nie potrzebuje sposobów i kunsztu, a złej, chwiejnej, czy wątpliwej nie podeprze żadnymi fortelami, choćby też i najmisterniejszymi.

Cóż tedy będzie prawdą i słusznością w sprawie, która nam z okoliczności tego, chwała Bogu, nie codziennego jeszcze feljetonowego, wystąpienia na myśl przychodzi?

Prawdą jest przedewszystkiem, że nie przyczynia dziennikarstwu znaczenia i powagi, tak bardzo dzisiaj nadwerężonej, patronowanie wszelkie w obronie ludzi pojedynczych, ich spraw osobistych, a najmniej przystoi mu jakieś kruszenie kopii w obronie firm handlowych, albowiem niema takiej firmy, któraby reprezentowała jakiegokolwiek, choćby najniższego porządku, ideę czy zasadę. A nadto są firmy i firmy; są handle i handle — są specyalności i specyalności na całym tym wielkim obszarze ruchu spekulacyjnego. Żadna z nich, jak rzekliśmy, nie przedstawia w treści swojej takiego znaczenia ogólnego, iżby w jej obronie godziło się dziennikarzowi brać pióro do ręki, bo żadna poza sferę osobistych korzyści pojedynczego człowieka lub spółki nie przekracza — ani jednej nie ufundował prawdziwy przedsiębiorca z myślą o dobru społecznem.

To jest prawda cała i jedyna. Cokolwiek bądź spróbuje kto udowadniać w duchu przeciwnym będzie czczą jedynie sofistyką, sztukowaniem prawdy fałszem, a co do następstw, świadomem lub bezwiednem wyprowadzeniem na manowce zdrowego sądu publicznego.

Obaczmy teraz jaką jest i być może w istocie swojej taka specyalność handlowa, której obronę bierze na siebie feljetonista.

Jeśli po wszystkie czasy dobrą, rozumną i szacunku godną kobietą nazywaliśmy tę, która miała najmniej próżności i pragnienia błyskotek, a najwięcej treści wewnętrznej w duszy swojej. Jeśli tę, która uganiała się za blichtrem, strojem i pozorem uważaliśmy za głupią, marną i niegodną imienia żony, matki i obywatelki. Jeśli prawdą a nie pozorem jest dzisiejsze podjęcie wielkiego zadania reformy kobiecości przez kobiety same— to musimy w zasadzie zarówno jak praktyce życiowej potępić stanowczo i nieodwołalnie to wszystko, co nam kobietę obniża umysłowo, pospolituje etycznie, co ją czyni odporną na wszelkie poważniejsze zagadnienia życia — wszystko co ją kusi, deprawuje i upośledza.

— Powiedz mi — mówi w powieści Zoli, zrozpaczony mąż pewnej kobiety do przyjaciela swego Oktawiusza Mouret'a — powiedz mi z jakiegoż domu ja wziąłem sobie kobietę za żonę?

Stawia to zapytanie tragiczne w chwili, gdy mu ta małżonka z naiwnością zepsucia wyznaje, że mamę jej hrabinę X... pociągnięto właśnie do rewizyi osobistej, pochwyciwszy ją na kradzieży koronki. Dzieje się rzecz w wielkim magazynie konfekcyi damskiej, którego ów Mouret jest właścicielem.

— Z jakiego domu wziąłeś żonę? — odpowiada uspokajająco cynik Mouret. — Mój Boże, z takiego mniej więcej jak wszystkie.

— Jakto? Przecież nie wszystkie kradną?

— Daj pokój! Nie warto kręcić karku w tej sprawie. Każda, uważaj mnie—każda, którą raz opanowała wścieklizna gałganów, zrobi to samo.

Przesada czy nie przesada?

Potwierdzać bezwzględnie nie śmiemy, bo i to wyznać nam należy w tem miejscu, że obcym nam jest wogóle kobiecy świat *Louvre'ów, Małych Bazarów* i wszelkiego, przetłómaczywszy go na polski język *Szczęścia kobiecego*, ale jeśli idzie o te dotknięte szałem, opanowane namiętnością, a jak mówi Mouret „wścieklizną gałganów," jeśli idzie o te stracone, to nam się straszne określenie tego handlarza paryzkiego dosyć blizkiem prawdy wydaje.

Pożądanie, pragnienie, niemożność jawna zaspokojenia go, a potem krok jeden do hańby i upodlenia ostatecznego—to kolej rzeczy zwykła.

Czy potrzeba wskazywać kto kusi — kto podsyca te pragnienia — kto nęci umiejętnie wystawą, efektami barw, niemożebnym kredytem i ułatwieniami wszelkiemi — kto na tych szaleństwach i upadkach zakłada sobie żniwo złote — kto nam jednem słowem deprawuje i wykrada kobietę?

Jeśli zakłady takie płacą źle robotnice swoje, a żywią je jeszcze gorzej niż płacą, jeśli odzierając publiczność i podając jej ceny w dziesięćkroć wyższe niż realna wartość towaru i jego wykończenia, dodają jeszcze tamto pierwsze przestępstwo do przestępstwa głównego, to nie idze zatem, żeby inne jakieś firmy, zakłady i domy handlowe zbierające miliony również na głupocie i próżności kobiecej, a płacące i odżywiające dobrze robotnice swoje, miały być dzięki temu tylko rzekomemu humanizmowi usprawiedliwione, rozgrzeszone, a ich proceder rehabilitowany. W pierwszym wypadku jest to zdzierstwo możnych i upadłych zwiększone zdzierstwem ubogich a pracujących — w drugim ta sama zupełnie stosuje się ocena i nazwa, mniej owym uciskiem i wyzyskiem sił roboczych, który to ucisk, nawiasem mówiąc, nie leży zupełnie w dobrze zrozumianym interesie przedsiębiorcy.

Razby potrzeba wyjść koniecznie z oportunistycznego przeplatania prawdy fałszem — z zaprzeczenia życiem głoszonej zasadzie — z ustawicznego przykładania do faktów i objawów życiowych dwóch miar różnych, wedle tego, która nam jest w danej chwili dogodniejszą albo zyskowniejszą.

Co do nas, to pochlebiamy sobie, że zaspakajając potrzeby kobiety i w dziale jej ubioru także, kierujemy się w tej sprawie tylko sumieniem i poczuciem obowiązku. Nie darmo sprawozdawczynią naszego pisma w rubryce mody jest kobieta, której imię w literaturze i poza literaturą starczy za wszelką z naszej strony odpowiedź. Staramy się za jej nieocenionem pośrednictwem dopomagać do tego, aby kobieta przez niestosowność swego ubioru nie stawała się śmieszną, ale zarazem wskazujemy, aby stosowała się do kaprysu mody o tyle tylko, o ile jej na to rozum i godność osobista pozwala.

Wybór rozumie się wolny, ale to pewna, że ani zalecamy, ani podsycamy i dlatego wydaje nam się, że to, co powiedzieliśmy z głębi przekonania w danej sprawie, godzi się w zupełności z zasadami naszego pisma i jego kierunkiem stałym.

A przytem ta kwestya równouprawnienia wszelkiej pracy ludzkiej, jakaż ona elastyczna i dowolna niesłychanie! — jak ją każdy stara się ciągnąć wedle interesu osobistego.

Jedni chcieliby, żeby wszystko zaliczyć można do kategoryi, którą anglicy zwą: *honourable*, a to jest złudzenie i niepodobieństwo, bo to naprzykład co szlachetne i z pożytkiem ludzkim zgodne, nigdy w towarzystwie wielkich korzyści materyalnych chodzić nie może.

Inni w szpetnej szczerości swojej dochodzą aż do francuzkiego wyrażenia: *Il n'ya pas de sot metier* *).

Z całą stanowczością przeczymy temu. Są zarobki i zarobki. Kto twierdzi inaczej, kto uprawnia zajęcia niemoralne w zasadzie, ten zdaniem naszem w błąd wprowadza opinję publiczną.

S.

Z Verlaine'a.

POCAŁUNEK.

O pocałunku! w cichym ogrodzie rozkoszy
Różo mistyczna! Pieśni przedziwnej harmonii!
O hymnie, który w sercu rozbrzmiewa i dzwoni,
Jak wizya, która śmierci przypomnienia płoszy!

O pocałunku, boska, nadmierna słodyczy!
O niewidzialnej duszy widzialny wytworze!
Człowiek chyli się do twej czary tajemniczej,
Pije szczęście—i wypić go do dna nie może.

Jak stare wino z Renu, jak dźwięki fanfary,
Ogłuszasz i upajasz, kwiecie purpurowy.
Niech sobie wielki Goethe albo Wiliam stary
Oprawią twoje cuda w kunszt klasycznej mowy.

Jam jest cichy trubadur. Moja piosnka pusta,
Nieuczona, lecz z duszy ciebie czci i chwali,
A ty się odwdzięcz za to: są tutaj z korali
Jedne znajome usta. O! zejdź na te usta!

tłóm. Władysław Sterling.

Z za rzek i mórz.

Czwarty z rzędu zjazd techników polskich rozpoczął prace swoje w Krakowie pod datą 8 b. m. Uczestników w salach hotelu Saskiego policzono w pierwszym dniu przeszło 300—przeważnie z Galicyi i Warszawy. Mowy powitalne darujemy czytelnikowi — zwykły to balast wszelkich wieców i zjazdów, od których, jako zabierających bezpotrzebnie drogi czas i dających nadto pole popisu wszelakiej hałaśliwej mierności, należałoby się wyswobadzać ile tylko można. Przewodniczą-

*) Niema podłego rzemiosła.

cym obrano p. Kazimierza Obrębowicza, prezesa warszawskiej sekcyi technicznej — jednym z wiceprezesów był także warszawianin p. Feliks Kucharzewski. Sekcyi postanowiono pięć, a mianowicie: ogólno-inżynierską, mechaniczną, budowlaną — sekcye chemii technicznej i oświetlenia.

Obrady właściwe rozpoczęto sprawozdaniem profesora Odrzywolskiego z postępu robót przy odnowieniu Wawelu. W drugim dniu zwiedzali członkowie zjazdu rano gmach Wawelski, a po południu wniesioną była sprawa ustalenia słownictwa technicznego, w istocie rzecz nader ważna dla społeczeństwa, którego robotnik nie może najprostszego narzędzia drewnianego lub metalowego wziąść do ręki, żeby go sobie w myśli językiem obcym nie nazwał. Do chwili, w której nas doszło sprawozdanie, mamy do zanotowania jeszcze odczyt profesora Obrębowicza o politechnice warszawskiej i p. Kucharzewskiego o technicznej literaturze polskiej. Zjazd nie zamknięty, więc i postanowień, i tego wogóle, z czem się rozeszli członkowie jego podać czytelnikowi nie jesteśmy w stanie, trudno nam jednakże oprzeć się z tego, co nas dochodzi zawsze i co doszło tym razem, pewnemu uczuciu braku, jakim się wszystkie podobne zgromadzenia, a przedewszystkiem zgromadzenia techników odznaczają. Postęp nauki jest zadaniem, dajmy na to głównem; bez zjednoczenia się w imię specyalności, straciłyby zjazdy racyę bytu, ale mimo to po wy wiązaniu się choćby najsumienniejszem względem korporacyi, wydaje nam się, że powinni członkowie tych zebrań pomyśleć coś niecoś o obowiązku dalszym, a o tej części ich prac milczą stanowczo sprawozdania. Zrozumiejmy czem jest w istocie technik w społeczności takiej jak nasza - i wogóle w każdej społeczności. Czy będzie kierownikiem w przemyśle cukrowym, czy dyrektorem przedsiębiorstwa fabrycznego w zakrasie produkcyi metalowej, tkackiej lub górniczej, czy architektem wreszcie, zawsze jest on osobą dźwigającą na barkach powodzenie kapitalisty, a jako taki używa u niego odpowiedniej wziętości i powagi.

Godne zaznaczenia rozporządzenie testamentowe pozostawił po sobie zmarły niedawno w prowincyach nadreńskich filantrop nazwiskiem Otto Hölterhoff. Cały majątek swój wynoszący półtora miliona marek zapisał on uniwersytetowi w Bonn z obowiązkiem wzniesienia w Honnef, na placu do niego należącym, gmachu przeznaczonego na schronienie dla 12 kobiet z wyższych sfer towarzyskich wyznania ewangelickiego. Z pomiędzy tych pań, sześć ma być córkami profesorów, docentów, kuratorów albo sędziów uniwersytetu w Bonn, reszta pochodzić z wyższego stanu: handlowego, urzędniczego, duchownego i wojskowego. Wiek wstępujących do schronienia oznacza testator na 30 do 40 lat. Kobiety zamężne, rozwódki lub wdowy przyjmowane być nie mogą. Ubóstwo kandydatki nie stanowi bynajmniej warunku koniecznego, z uwagi jednakże na niepomyślne dla kobiety stosunki jej pracy, osoby mniej zamożne mają tu pierwszeństwo przed zamożniejszemi. Przez małą zamożność rozumie testator dochód roczny niższy od 1,500 marek. Obowiązkowem jest dla kandydatki ukończenie kursu gospodarstwa domowego. Schronienie daje pensyonarkom swoim mieszkanie złożone z bawialni i sypialnego pokoju, utrzymanie całkowite i pensyę roczną od 600 do 1,000 marek. Instytucya utrzymywać będzie szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt z ludu wszystkich wyznań chrześcijańskich.

Oprócz dotacyi opisanej powyżej dla osób wyznania ewangelickiego, ustanawia zmarły drugą dla pań katoliczek, wyłącznie ze sfer uniwersyteckich w Bonn, i dla tych przeznacza dożywocia w liczbie sześciu po 1,200 marek, podwyższanych co rok o marek 100 aż do wysokości 1,600 rocznie. Kandydatki wszakże należące do kategoryi ostatnio wymienionej, nie mogą pozostawać na pensyonacie, albowiem wedle rozumienia zapisodawcy, między osobami pozostającemi w stosunkach blizkich i codziennych potrzebną jest zgoda i harmonia, a różność wyznań jest wielką dla tej harmonii przeszkodą.

Nie szczególne miał on, jak się pokazuje, wyobrażenie o duchu tolerancyi religijnej swoich rodaczek, i zdaje się, że co do tego punktu nie mylił się bynajmniej, jak to moglibyśmy mu z głębi przekonania przyświadczyć i my także.

Wreszcie z przewyżki dochodów fundacyi, po nad zakres potrzeb wyszczególnionych, wypłacane być mają stypendya w summie 2,500 marek uzdolnionym i zasłużonym docentom prywatnym uniwersytetu w Bonn.

Na uniwersytetach niemieckich było w ostatnim roku naukowym studentów cudzoziemców ogółem 2,384 — w tem: poddanych rossyjskich 584 — austryackich i węgierskich 447 — szwajcarskich 269 — angielskich 149 — bulgarów 69 · holendrów 40—francuzów 41— serbów 39—włochów 37—turków 33 — rumunów 32—szwedów i norwegczyków 31 — greków 23—belgijczyków 19 - amerykanów ogółem 300. Z innych części świata dostarczyła Azya (przeważnie Japonia) 201—Afryka 21— Australia 25.

Takim jest dorobek cywilizacyi starego świata niemieckiego. Czy pójdzie dalej w tym stosunku — czy się choćby utrzyma na dzisiejszym poziomie, wątpić mamy wszelkie prawo.

Milkną przy szczęku oręża i muzy, zasypia i wiedza poważna, jak nam o tem dobitnie świadczy współczesny ruch wydawniczy we Włoszech. I tak, podczas gdy w roku 1886 liczba wydawnictw wszelkich dosięgała cyfry 11,034, widzimy w 1895 tę cyfrę spadającą do 9,435. Są też upadki nader różne w poszczególnych działach produkcyi umysłowej. I tak ilość dzieł religijnych zmniejsza się najwidoczniej, romans i powieść również—wydawnictwa z dziedziny historyi i geografii trzymają się po dawnemu, to samo da się powiedzieć o poezyi. Mnożą się tylko publikacye treści politycznej i społecznej.

Jakkolwiek wiadomość, którą podajemy poniżej nie interesuje naszych czytelniczek bezpośrednio, wszelako zamieszczamy ją, aby przekonać, jak słabe mają szanse szczęścia osobistego kobiety krwi panującej w Europie. Jest ich bowiem w wieku właściwym do zawarcia związków małżeńskich ogółem 71, podczas gdy odpowiednich im osobników męzkich równie wysoko urodzonych tylko 47. A zatem te 24...

Niechajże nie narzekają te wszystkie, którym los purpury i gronostajów nad kołyską odmówił.

K.

PREMIÓWKA.

Epizod z naszych czasów.

PRZEZ

A. K. S.

(Dalszy ciąg).

Sądząc z tego, w jaki sposób zabierano się do ucztowania, nie było do przewidzenia, aby się znalazł choć jeden z ucztujących, którýby resztę pieniędzy podzielić mógł przytomnie. Młodzież po młodzieńczemu spełniała kielichy, i chyba jeden Bieluń, który miał widać głowę mocną na wszelki użytek i Kozera, który bladł coraz więcej—chyba ci dwaj zdolni być mogli do jakiejś sprawy, wymagającej rozwagi i namysłu. Fichten z Piątkiewiczem zarzucali teraz uprzejmościami Kozerę, który patrzył na nich w tak szczególny sposób, jak gdyby im na ostatek jeszcze jakąś niespodziankę za ich przyjazne uśmiechy gotował, a Stanisław rozserdeczniał się i fantazyował tak, że całą uwagę Kozery skupiał teraz na siebie, bo folgował już na dobre raz na zawsze powziętemu kierunkowi myśli, i robił to z tak dobrą wiarą, że nawet jego susowy sędzia Kozera, nie mógł się w tej chwili gniewać na niego w duszy tyle, co zwykle.

— Ot, ten to po trzeźwu i nie po trzeźwu zawsze jest sobą—mruczał w połowie do siebie, uderzając go tylko od czasu do czasu energicznie po ramieniu, gdy się za bardzo zapędzał.

— Wiecie, mam myśl — zawołał naraz Stanisław.—Dzień taki, jak dzisiejszy, nie powinien przejść bez śladów. Jestem przesądny i zdaje mi się, że pieniądze takie, jak te, które mamy w kieszeni, powinny mieć w sobie talizman pewien.

— Żadnego talizmanu nie mają—szyderczo a z przekonaniem przerwał Kozera.—Te pieniądze nie są nawet wygrane, to są pieniądze zabrane, jeśli mamy mówić grzecznie, a jeśli idzie o to, aby zbliżyć się możliwie do prawdy, to skr.......

Nie dano dokończyć mówiącemu, zakrzyczano, że jest pijany bardziej niż wszyscy, żartowano z jego słabej głowy, a kiedy się uspokoili wszyscy ile tyle, Stanisław kończył myśl zaczętą.

Mówił, że właściwie użyćby ich należało na jakiś cel, co wywołało chmurę głośnych protestów, szyderczych wycieczek, a wreszcie rozsądny Bieluń zwrócił uwagę, że tak bagatelna kwota za żaden zaczątek uważaną być nie może, że to nie jest grosz, któryby w dzisiejszych warunkach zaważył, i tak dalej zbijał każdy, komu zależało, aby pieniądze zo-

stały w jego kieszeni, tylko każdy używał innych argumentów do odrzucenia wniosku, i z innych wychodził założeń.

— A więc dobrze — wołał teraz mówca — zgadzam się, że to jest drobiazg; mówiłem wam, że mam przesądy, a nie zrobiłem wzmianki, że mam przeczucia, które mię nigdy jeszcze nie zawiodły. W tej chwili coś mi szepcze...

— Wino ci szepcze—przerwał Fichten.

— Ono i mnie szepcze, żeby pójść spać — żartował Piątkiewicz, który wolał już zgromadzenie opuścić, niż narazić na szwank to, co miał za swoje, a na co ten waryat zdawał się koniecznie obmyślać jakieś nowe zamachy.

— Nie przeszkadzajcie, dajcie mi skończyć—wołał Stanisław z uporem podchmielonego — ja wiem, że to jest bagatela, ale ja i to wiem, czem byłyby środki znaczniejsze w ręku ludzi przekonań—w ręku ludzi takich jak my...

— Oh... tak!—koniecznie takich jak my—obstaję przy tem—wtrącił bezczelnie Kozera, którego to „my” nieszczęśliwe podrzucało w górę, ile razy je ktoś z członków tej grupy miał śmiałość wymówić w jego obecności.

— Naprawdę dajcie mu skończyć—perswadował Bieluń—bo jego rozsadzi ta jego myśl, a przytem zanadto głośno krzyczy; niechże powie raz nareszcie.

Zmonitowany za podnoszenie głosu, starał się teraz Stanisław przybrać minę poważną i tonem, który jak mu się zdawało, trafić był powinien do przekonania wszystkich, opowiadał długo i szeroko o planach, z którymi się nosił oddawna, a na które, wedle tego co sam widzi, czekać będzie musiał aż do objęcia majątku. A tu każda chwila, zdaniem jego, była ważną i gdyby ją czemkolwiek przyspieszyć było można, żadnym środkiem nie należało gardzić.

— My też nie gardzimy, wierzajcie mi — wtrącił znowu Kozera. — Ja wam to nawet opowiem potem szczegółowiej, bo początek zrobiliśmy dziś już na tej drodze wcale dobry, ale mów, bo to już za długo trwa, więc chociaż wiem z góry o co chodzi, ale skoro słyszeliście, więc... posłuchajcie jeszcze.

— Otóż stawiam kwestyę, czy nam należy starać się o środki?

— Ależ koniecznie.

— Choćby z pod ziemi.

— Choćby z piekła wydobyć.

— Bardzo pięknie. Do tego celu niczego nie wolno nam zaniedbywać. Wiadoma rzecz, że pieniądz rodzi pieniądz, wiadomo i to, że są jedne grosze skazane na bezpłodność i inne, które się mnożą stokrotnie, wreszcie cel jest celem, a szansa jest szansą — im więcej szans za nami, tem bliżsi jesteśmy celu.

— Mówże wyraźniej do kaduka, bo nie dojdziemy końca.

— Wyraźnie? dobrze—powiem wam. Za tę wygraną sumę kupmy pożyczki premiowej...

Teraz nikt nie myślał już o pozwoleniu na resztę wniosku, i oprócz Kozery, którego twarz wyrażała współczucie, na wszystkich innych malował się wprost wyraz gniewu.

Myśl była z piekła prawdziwie, a pierwszym do niej szczeblem oczywiście wydobycie z kieszeni tego, co się tam dostało tak niespodzianie i wbrew wszelkim przewidywaniom. Zwalczano tedy myśl samą, argumentowano seryo, uciekano się do żartów, a ktoś tam nawet, niewiadomo tylko kto, nasunął wątpliwość, azali źródła, z których wyszedł pieniądz, były dosyć moralne, odnośnie do czystości zadania.

Zdaje się, że tym razem zręczny ten zwrot udał się Bieluniowi, który w ten sposób samego Stanisława w zapale na chwilę przynajmniej powstrzymał.

— Jakkolwiek nic nie mam przeciw ostatniemu zarzutowi — odezwał się Kozera — to przecież nie widzę powodu, dla któregobyśmy mieli wstrzymywać się od zrobienia tej małej satysfakcyi poczciwemu koledze naszemu. Skoro jednakże widzę opozycyę tak jednomyślną i tak gorącą, pozwalam sobie zrobić pewną modyfikacyę w jego wniosku, a mianowicie tę: on chce dużo premiówek, a jabym zaproponował szanownemu zgromadzeniu jedną tylko. Jeśli dyabeł będzie chciał, to wystarczy tej jednej, a jak on pokręci głową przecząco, to i sto takich nie pomoże. Kupcie jedną. Co zaś do tego dyabła i jego decyzyi w tej sprawie ostatecznej, to wierzajcie, sądząc po metodzie, jaką się ten potentat posługuje w dziełach swoich, ja myślę, że wygrać powinniśmy.

Jeszcze tam sprzeczano się trochę, jeszcze więcej lub mniej wymownie bronił każdy swojej części dzisiejszej zdobyczy, ale w końcu rozstrzygnął rzecz Kozera, który znudzony już należycie, wziąwszy wczorajszy kurs z „Kuryera,” położył przed Stanisławem część na niego przypadającą. Nie było już teraz miejsca na dalszą opozycyę, zresztą roztropniej było przecież zatrzymać cztery piąte przy sobie, a jakąś tam jedną piątą rzucić na ofiarę uporowi i głupstwu, aniżeli pozwolić mu wytoczyć pretensye do całości.

Chociaż przyzwoitość nie była tutaj względem rozstrzygającym, ale bądź co bądź nie wszystko ominąć można na świecie—zwłaszcza pomiędzy ludźmi zasad, jak zwykł był mówić Fichten przy każdej sposobności. Stanisław uważał myśl za tak tryumfalną, że postanowił utrwalić ją na piśmie i zażądawszy arkusza papieru zredagował treściwy akt spółki. Zrobił przytem wzmiankę o przeznaczeniu ewentualnej wygranej w wyrazach tak mglistych, że każdy mógł przez ich treść co innego rozumieć, co wszystko razem podpisali obecni więcej lub mniej wyraźnie, wedle tego, jak komu dopisywały wzrok i ręka. Dano te podpisy jednakże z chęcią byle tylko już nareszcie raz był koniec; Stanisław obiecał jutro kupić tytuł jeden pożyczki, przyczem Fichten, przesądny jak wszyscy jego współwyznawcy, zrobił wniosek, aby koniecznie Kozera nie kto inny wybrał numer.

— Alboście się popili doszczętnie, alboście pogłuchli, wmawiając we mnie z takim uporem to jakieś moje szczęście, mimo wszystkich wyjaśnień moich — bronił się jednakże ostatni. Wieleż razy mam wam powiedzieć, że to nie jest żaden wypadek losowy, to co się stało dzisiaj.

— A więc cóż to jest? — pytał Stanisław naprawdę już teraz zdekoncertowany.

— Św.....o jest — więcej nic. Nie podsłuchałem, bo to już zanadto byłoby szpetne na mnie, ale podpatrzyłem, co nie jest znowu tak o wiele bardzo lepsze, tylko może nie tak potwornie brzmi w mowie, jak tamto. Cóż wpatrujecie się we mnie, jak gdybyście nie zrozumieli?

— Mistyfikacya!

— Żarty wolne z naszej łatwowierności!

— Ależ kolega masz wyobraźnię! — mógłbyś nowele pisać.

— Dobre sobie jest to wszystko! Więc nie wierzycie? tak dalece mi ufacie i tyle mam uznania u was, że nie przypuszcza żaden, abym ja się mógł dopuścić czegoś nielojalnego. Wszak to chcecie powiedzieć? No tak jest, jak widzę, a więc pozwólcież sobie podziękować za to jak należy. Oto powiem wam krótko a dobitnie, a powiem przetłómaczonem na nasz język przysłowiem francuzkiem.

— No powiedz kolega to przysłowie, kiedy ci tyle na tem zależy—ulżyj sobie.

— Niema bardziej głuchego, jak ten, który nie chce słyszeć — rzucił na odchodnem szyderczo Kozera, i mimo protestów słownych i czynnych nie dał się już namówić na powrót.

Utrzymywał kiedyś w obecności Stanisława, że u niego trącanie się kieliszkiem obowiązuje. Może w tej chwili nie miał ochoty do żadnych z członkami zgromadzenia oznak braterstwa, choćby nawet wobec kieliszka.

Nazajutrz wczesnym rankiem znalazł się w mieszkaniu Kozery Stanisław. Spodziewanym był tutaj, a i cel tych odwiedzin aż nadto przewidywał starszy kolega. Rozmawiali długo, Kozera opowiedział wszystkie szczegóły zajścia na polu wyścigowem, a opowiadał, dodając faktowi cynicznego zabarwienia, może nawet trochę przesadzając jego antyetyczną i szpetną stronę. W każdym razie bez żadnej nawet przesady pięknem, a choćby tylko ściśle lojalnem nazwać tego było niepodobna.

— Cóż ty zrobisz z temi pieniędzmi?

— Nie wiem—to pewna, że ich nie zatrzymam przy sobie.

— Ale co zrobić?.. możeby opłacić jakie wpisy... albo coś podobnego...

— Chyba coś bardzo mało podobnego do wpisów. Ja, widzisz mój drogi, należę do liczby tych, za których płacono wpisy, a zdaje mi się, że nie byłbym się zgodził na korzystanie z grosza w ten sposób pozyskanego.

— Masz racyę. Poszukamy razem przeznaczenia. Ale uważaj, możeby powiedzieć i tamtym?.. Jak myślisz?

Kozera dał do zrozumienia co myśli, wybuchając śmiechem na tę propozycyę.

Stanisława uraził ten śmiech dotkliwie.

— Słuchaj — jesteś uprzedzony, a przytem zawzięty...

— Jesteś nieuleczalny, to ci jedynie powiedzieć mogę, skoro nietylko jawne niepodobieństwa i nieprzyzwoitości nie rażą twego moralnego zmysłu, ale fakta najwymowniejsze nie mogą cię do oprzytomnienia przywołać. Czy ty zupełnie nietrzeźwy byłeś wczoraj—czy na nich wcale nie patrzyłeś?

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Jubileusz Arcypasterza.

W dniu 13 Września Jego Ekscellencya Arcybiskup Warszawski, ks. Wincenty Chościak Popiel obchodził piędziesięciolecie swojej służby kapłańskiej. Uroczystość odbyła się przy licznej asyście warszawskiego i przybyłego z prowincyi duchowieństwa, niemniej osób świeckich zostających w blizkich osobistych z Jego Ekscelencyą księdzem Arcybiskupem stosunkach.

Osobiste.

Henryk Sienkiewicz wyjechał z Warszawy dnia 15 Września udając się w Poznańskie, zaproszony przez pp. Józefowstwo Kościelskich dla przyjęcia udziału w uroczystości odsłonięcia pomnika Juliuszowi Słowackiemu. Pomnik ten w parku Miłosławskim wystawiony został kosztem pana Kościelskiego. Oprócz Sienkiewicza udało się tam z Warszawy parę jeszcze osób ze sfery literackiej i artystycznej.

Z prasy.

Nader ciekawe nieporozumienie ze stosunków literacko-wydawniczych, podała nam w zeszłym tygodniu „Gazeta Polska.“ Są tam dwa listy, które przytoczyć musimy w całości, aby dać czytelnikowi wyobrażenie o dziwnem, nie powiemy już nie poszanowaniu, ale o niepojętej poniewierce prawa własności intellektualnej i o wartości zobowiązania słownego, niepopartego umową piśmienną zawartą, w obecności dwóch świadków, przed notaryuszem, z rygorami odpowiedni do okoliczności.

Oto pierwszy z tych listów, mieszczący w sobie oskarżenie:

„W jesieni roku 1898 ówczesny kierownik „Kroniki Rodzinnej“ zamówił u mnie powieść większych rozmiarów mającą się ciągnąć przez cały rok następny i ofiarował honoraryum po 5 kop. za wiersz. Powieść zaczęła się drukować od Nowego Roku w „Kronice Rodzinnej“ p. t. „Straszny Rok,“ rozwijała się na tle wieku XVII, a występowały w niej osoby o autentycznych nazwiskach, ale zarówno jak wypadki stworzone przez moją fantazyę, mianowicie rotmistrz Polanowski, Zofia Suliszewska, kniaź Sokolski i t. d.

„W Maju jednak r. 1899 „Kronika Rodzinna“ zmieniła właściciela, i nowy kierownik pisma oświadczył mi, że nadal po 5 kop. za wiersz płacić nie może, oraz domagał się jak najszybszego ukończenia powieści bez względu na akcyę, podając za przyczynę, że nie ma zamiaru drukować w „Kronice“ dłuższych utworów. Nie chcąc psuć powieści, nie zgodziłam się na to i przerwałam druk mojego utworu. Wyjechawszy zagranicę dla leczenia się, przez dwa miesiące nie widywałam wcale „Kroniki Rodzinnej.“ Dopiero po powrocie do Warszawy wpadło mi do rąk kilka jej numerów, z których ku wielkiemu zdziwieniu przekonałam się, iż p. Michał Synoradzki bez mojej wiedzy i pozwolenia pisze dalszy ciąg mojej powieści, zmieniwszy tylko jej tytuł na „Swaty Hetmańskie.“ Kto ciekawy może się o tem przekonać, wziąwszy do rąk „Kronikę.“ W numerze XII urywa się moja powieść „Straszny Rok,“ a w XV już p. Synoradzki rozpoczyna „Swaty Hetmańskie,“ gdzie streściwszy w krótkości fabułę mojej powieści, dalej po swojemu opowiada losy rotmistrza Polanowskiego, Zofii Suliszewskiej, kniazia Sokolskiego—słowem wszystkich moich bohaterów.

„Uważam sobie za obowiązek zastrzedz się przeciw takiemu postępowaniu, które podwójnie obraża moje prawa autorskie, zawarte w umowie, i w pomyśle literackim.

(podpisano) Marya Łopuszańska.“

Na to odebrała „Gazeta Polska“ tego rodzaju wyjaśnienie drugiej strony, przysłane, o ile przypuszczamy, jako usprawiedliwienie.

„Opowieść historyczna p. t. "Swaty Hetmańskie“ drukowana obecnie w „Kronice Rodzinnej“ jest w istocie dokończeniem powieści p. Łopuszańskiej. Podjąłem się atoli dokończenia tego nie własnowolnie, lecz na żądanie redakcyi „Kroniki Rodzinnej,“ jako stały tego pisma współpracownik. Dodam jeszcze, że przy pierwszym ciągu *dokończenia* umieściłem odsyłacz objaśniający czytelników, że moje „Swaty Hetmańskie,“ jakkolwiek stanowią całość samą w sobie, są jednocześnie dokończeniem powieści p. Łopuszańskiej. Odsyłacz ten redakcya „Kroniki“ usunęła.

„Zdaje mi się, że wobec takiego stanu rzeczy szanowna koleżanka pretensyi do mnie mieć nie może.

„Nie do mnie należy obrona redakcyi „Kroniki Rodzinnej.“ mniemam jednak, iż słusznem będzie, gdy nadmienię, że redakcya żądając od p. Łopuszańskiej większej treściwości, miała do tego powody, *oraz że o chęć wyzyskiwania cudzej pracy posądzać jej żadną miarą nie można.* Honoraryа autorskie musiały być unormowane względnie do dochodu; żądać aby ktoś płacił nad możność—niepodobna.

(podpisano) M. Synoradzki.

Wyznajemy z pokorą, że nie rozumiemy wcale. Była umowa między p. Łopuszańską a redakcyą „Kroniki,“ której nikt nie zaprzecza. Była umowa o sprzedaż „Kroniki,“ w której treści pomieszczonemi być musiały i zobowiązania nowonabywcy dotyczące dotrzymania warunków dotychczasowym współpracownikom, bo to wypływa przecież z samej istoty sprzedaży.

Jednocześnie nowonabywca rozporządza się tak dowolnie, jak gdyby nie istniało nawet pojęcie własności literackiej i artystycznej, i jak gdyby nie zaciągał przy kupnie żadnych zobowiązań, a sprzedawca siedzi cicho i milczy, jak gdyby mu tego warunku w istocie nie stawiał. Cóż mu tedy sprzedawał? pismo czy sklepik wiktuałów? No i tuż na zawołanie zjawia się osoba trzecia, która bez zwrócenia się do autorki, oświadcza się z gotowością dokończenia jej pracy i kończy ją z czystem sumieniem, zapewne w przekonaniu, że jest w swojem prawie, jak to wreszcie sama treść usprawiedliwienia wskazuje.

Jest to fakt tak nieprawdopodobny, a nawet tak niebywały u nas, że gdyby nie podpisy osób i nie powaga „Gazety Polskiej“ możnaby wziąść to wszystko razem za mistyfikacyę.

A zatem już ani umowy, ani poszanowania najmniejszego dla własności intellektualnej. Samowola z jednej strony, a z drugiej... alboż wiadomo jak to nazwać?

Chyba ogłaszaniem usług literackich przy pomocy licytacyi in minus. Jednem słowem istna Zarwańska ulica.

Szkoła.

Dzienniki Petersburskie donoszą, iż z początkiem roku szkolnego obecnego we wszystkich czteroklasowych szkołach miejskich wprowadzoną będzie jako przedmiot nieobowiązkowy nauka języków nowożytnych. Wobec zwiększonych z tego powodu wydatków, podniesionem będzie wpisowe o rubli pięć rocznie.

Wskazówki i rady.

Wyborna śliwowica.

W gąsior z szerokim otworem nakłaść pełno dojrzałych zupełnie węgierek, zalać je spirytusem 92 próby, zatkać korkiem i postawić w cieniu na 4 tygodnie; po tym przeciągu czasu zlać spirytus ze śliwek, wysączając długo i starannie gąsior. W miejsce spirytusu wsypać na śliwki cukru miałkiego tyle ile się zmieści, ale nie krystalicznego lecz pudru, bo ten się łatwiej rozpuszcza. Cukier będzie wyciągał ze śliwek spirytus w miarę rozpuszczania się. Po trzech tygodniach cukier się rozpuści, wtedy zlać płyn, wymieszać go z poprzednio zlanym spirytusem, przefiltrować przez szwedzką bibułę lub watę włożoną w lejek, zakorkować i zostawić w spokoju przynajmniej na jakie pół roku, a będzie wyborna i wystała śliwowica.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na Marya Bart. Szkoły Freblowskiej p. Marya W. nie prowadzi obecnie. Adres jej: Krucza Nr. 46.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

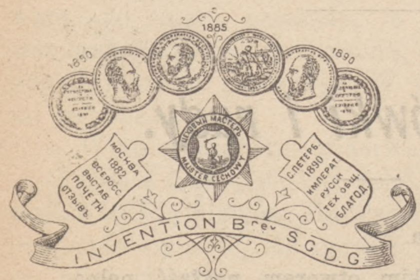
TREŚĆ: Wiktor Gomulicki: Wyzwolona, karta z życia (ciąg dalszy). — Sprawozdania literackie. — Na manowcach. — Władysław Sterling: Pocałunek, wiersz. — Z za rzek i mórz. — Premiówka, epizod z naszych czasów (dalszy ciąg). — Kronika. — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia. — Edmund Chojecki: Alkhadar powieść z życia ojców naszych (dalszy ciąg).

LABORATORYUM **Chemiczno-Farmaceutyczne** **Apteki M. MALINOWSKIEGO** **w Warszawie, Nowy-Świat 35, telefonu 190** 94 wyrabia **mydła** lekarskie **przetłuszczone:** Borne, Benzoesowe. Lanolinowe, Lecznicze, Wazelinowe **udelikatniające i chronią, ce skórę od pękania i łuszczenia się; antyseptyczne** oraz zastosowywane przy różnego rodzaju chorobach skóry przez lekarzy-

---

NAJNOWSZA SZKOŁA KROJU

i Podręczniki do nauki kroju sukien, okryć i bielizny.



Zawierające tak uproszczoną metodę, podług której nawet same Panie wyuczają się miary, kroju i sposobu wykończania fasonów z materyału, odpowiednio do **ostatniej mody paryskiej** i na figury nawet najnieforemniej zbudowane. **Krój doskonały,** fasony znakomicie leżą, formy można rysować od ręki na sposób francuzki lub z pomocą sztucznej linijki ułatwiającej bardzo naukę rysunku. Są to jedyne dotąd u nas podręczniki **z gruntowną nauką,** przynoszącą prawdziwy pożytek i ulgę w pracy, szerokie też zyskały uznanie i rozpowszechnienie, tak w domach familijnych, jako też w pracowniach w szkołach żeńskich w kraju, Cesarswie i zagranicą. 122

Cena podręczników p. t. Najnowsza uproszczona metoda kroju sukien, żakietów, wogóle okryć damskich i dziecinnych wyd. 16 w jęz. polskim a 19 w jęz. ross. zawierają przeszło po 400 figur z tekstem, po rs. 3 kop. 50. Linijka po rs. 1 kop. 50. **Automat czyli Metoda poglądowa** do momentalnego wykrawania i pasowania form staników i żakietów rs. 2. Podręczniki do nauki **kroju bielizny** bogate w treści rs. 3.

Na żądanie wysyła się za zaliczką pocztową, z mojej szkoły **w Warszawie Nowosenatorska Nr. 2, i z Moskwy, Petrowka Nr. 12. Na naukę kroju i szycia** przyjmują się każdodziennie we wszystkich moich szkołach, w Warszawie, Moskwie, Petersburgu i Kijowie—a po ukończeniu kursu otrzymują uczennice **patenty cechowe.** Ceny za naukę bardzo przystępne.

K. GŁODZINSKI, nagrodz. medalami **za dobry krój, podręczniki i doskonałą naukę.**

Fabryka Gorsetów WIŚNIEWSKIEJ

PRZENIESIONA

Czysta Nr. 8,

poleca gorsety skośne w najpiękniejszych fasonach od 6 rubli.

79 ***Marja Wiśniewska.***

Magazyn Bławatny

L. KUMMANT

Marszałkowska № 101

poleca na nadchodzący sezon:

Wielki wybór nowości na suknie, peleryny i żakiety. Wszelkie podszewki jedwabne i bawełniane. Bielizną stołową, płótna, pół-płótna i perkale.

Wielki wybór materyałów na mundurki. 104

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M. TISSERANT

MISTRZYNI CECHOWEJ

ŻÓRAWIA Nr. 9.

Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"** Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. Na czas wakacyi ceny kroju zniżone. 92

W zakładzie naukowym 3-klasowym

z kursem ściśle gimnazyalnym nauczycielki rządowego progimnazyum

STEFANII TARKOWSKIEJ

Chłodna 37.

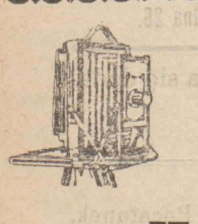
zapisy pensyonarek, półpensyonarek i przychodnich przyjmują się codziennie od godz. 11 do 6 Egzamina wstępne 28 i 30 Sierpnia. Lekcye rozpoczną się 5 Września. 106

Nowootworzony skład dywanów ***ul. Erywańska 14.***

p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-42



Aparaty „Photo-jumelle," Aparaty „Anschütza," „Self-Worker" i „Verascope," najnowszej konstrukcyi. Najnowsze wywoływacze. Klisze „Atlas," „Fotol" i inne nowości. Poleca:

P. Lebiedziński

Krakowskie-Przedmieście 65. 50

Proszę zwrócić uwagę na markę ochronną.

PAROWA FABRYKA

Kawy Palonej

pod firmą

IMPORT KAWY

L. B. Jankiewicz,

Warszawa, Leszno 68. Telefon.

POLECA

KAWY PALONE,

!! Codzienn świeże !!

a szczególnie:

Gospodarską № **2**	za funt	rb.	0.65
„ № **1**	„ „	rb.	0.75
Mięszanki:			
Karlsbadzką	„ „	rb.	0.85
Wiesbadeńską	„ „	rb.	1.00
Wiedeńską	„ „	rb.	1.10
Wyłącznie na czarne kawy:			
Deserową № **2** . . .	za funt	rb.	1.15
„ № **1** . . .	„ „	rb.	1.20

W oryginalnych opakowaniach od 1/1 — 1/2 — 1/4—1/8 funta opatrzonych banderolą i znakiem ochronnym.

Sprzedaż detaliczna we wszystkich handlach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi, oraz Składach Win zagranicznych **Caves du Grand Hôtel de l'Europe** ulica **Czysta; Grand Caves de Bordeaux, Mazowiecka 20 i J. A. Stegmann, Marszałkowska róg Chmielnej.** 54

STEFAN TERTUS Z ODESSY

(Firma egzystuje od 1864 roku).

Otworzył Filię Składów Herbaty: Chińskiej i Cejlońskiej

w Warszawie, Senatorska Nr. 4.

Uwaga. Komisya Sewastopolska po analizie produktów spożywczych i napojów, uznała herbatę **Stefana Tertusa** za czystą i bez wszelkich domieszek obcych liści i różnych farbowań. (Kr. Wiestn. z dnia 10/22 1897 r. za Nr. 324).

Zarządzający filią **M. Lisser.** 76

MAGAZYN

„Au Printemps"

z powodu powiększenia pracowni sukien oraz wprowadzenia z nadchodzącym sezonem jesiennym **odziału kapeluszy,** przeniesiony został na ulicę 110

Hr. Berga Nr. 6, 1-sze piętro.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA UBIORÓW DAMSKICH

z pensyonatem

EMILII EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechowej z modelem i dyplomem Akademji krawców paryzkich.

Warszawa, Chmielna 24. 133

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

Nauce i Rozrywce Młodzieży Poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne książka.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. **1,** rocznie rs. **4.** Na prowincyi kwartalnie rs. **1** k. **25,** rocznie rs. **5.**

Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**

Warszawa, Chmielna 26.

Na żądanie wysyłają się numera okazowe.

APTEKA K. WENDY | 45. Krakowskie Przedmieście 45. **w Warszawie.** 45 | ***Wody mineralne wszystkich źródeł naturalne i sztuczne.***

Дозволено Цензурою Варшава, 8 Сентября 1899 г. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Wilczek miał słabość do Skałki, który prócz tego był już za starym, aby godziło się pomyśleć o jego przemianie.

. . . .

Było południe.

Wilczek, obyczajem wieśniaków od wschodu słońca pracą zajętych, siedział już u obiadu. Kapitan otrząsłszy się po wstępnym kielichu wódki, rozpowiadał dzienne swoje spostrzeżenia, tyczące się kobiecego zwłaszcza gospodarstwa, w tej bowiem części miał szczególne upodobanie.

Hrabina wesoło wysłuchiwała sprawozdania o sprzeczkach i zwycięztwach, jakie stary wojak odnosił nad uporem gospodyń; Wilczek umyślnie wyzywał go na dłuższe wywody i dostarczał treści do coraz dziwaczniejszych pomysłów.

Skałka brnął w planach i projektach po same wąsy.

— Na mój honor! — mówił — ludzie nie robią majątków, bo nie chcą. Co do mnie, przyznam, że nie pojmuję, jak gospodarz potrzebujący pieniędzy, nie potrafi w przeciągu kilku lat zebrać miliona. Zapewne — jeżeli będzie siał tylko i orał, rozumiem, że na starość musi wyjść z torbą; dołożywszy atoli trochę uwagi i rachunku do kobiecego gospodarstwa, lada zagrodnik może beczułkami zbierać złoto.

— Czy podobna? — przerwała żartobliwie hrabina — czemuż nie chcesz pan nauczyć mnie tego sposobu? Ja właśnie do mojego wydziału potrzebuję w tej chwili bardzo wiele pieniędzy; wybrałam moje zasługi za pół roku z góry, i o więcej nieśmiem się mężowi naprzykrzać.

— Zaklinam cię kapitanie — zawołał Wilczek — nie daj uwodzić się gładkim słowom kobiety; nie wyjawiaj przed moją żoną tajemnicy, na nic by się jej nie przydała. Pieniądz troski jej tylko przynosi; dopóty cierpi, póki nieodda ostatniego grosza. Mnie to raczej, człowiekowi rządnemu, zabiegłemu, powinienbyś odkryć kamień filozoficzny. Wiesz dobrze, że tyle ważnych wydatków mam na sumieniu.

— Ani tobie Władziu, ani pani hrabinie — odrzekł Skałka — ale, aby pogodzić, państwu obojgu się wyspowiadam. Rzecz nader prosta i naturalna. Ten oto kawał trawnika, nad rzeką, w ogrodzie, za pałacem na prawo, więcej wart niż niejedna kopalnia Potozu.

— Wystraszasz mnie, kapitanie!... kopalnia — skarb zakopany!... Czy miałeś sen jaki proroczy?

— Bynajmniej — (proszę o musztardę?) — bynajmniej, powtarzam; nie sen żaden — jaw najoczywistszy. Chciejcie mnie państwo tylko wysłuchać. Przedewszystkiem zaś, stawiam skromne zapytanie: czem karmią się gęsi, czem żyją indyki — ile jaj na rok znosi gęś, ile indyczka?

Wilczek wybuchnął głośnym śmiechem; hrabina nie mogła utrzymać powagi.

— Za pozwoleniem — ciągnął dalej Skałka, mrużąc oczy — za pozwoleniem!... (Proszę mi podać drugą butelkę) — sam odpowiem na zapytanie: gęsi karmią się tem, co własnym przemysłem wynajdą w wodzie; mógłbym to samo rozumowanie zastosować do kaczek, ale zostawmy o kaczkach na później — (Proszę chleba).

— Zapewne — wtrącił Wilczek — o kaczkach później, przyjdzie i na nie kolej.

— Indyki, Władziu — możesz mi wierzyć; przypatrywałem się im dziś z rana przez dwie blisko godziny; indyki wszystkie skubały trawę i głosem, jakoteż postacią, tłumaczyły wysokie zadowolenie z uczty. Idę dalej...

— Za indykami?

— Przeciwnie — za mojem rozumowaniem. Gospodyni, osoba ze wszech miar godna wiary — (proszę o korniszony!) — przysięgła mi, że przyzwoita gęś znosi rocznie dwadzieścia jaj, że indyczka czystej krwi na podobnąż ilość się zdobywa. Wiadomo, że na lwowskim targu za gęś cztery złote, za tłustą zaś indyczkę do sześciu czasami trzeba zapłacić.

— Zwłaszcza nadzianą truflami — ale prawda! przepraszam cię, nie o takiej tu mowa.

— O żywej Władziu, o nieoskubanej zupełnie. Biorę więc indyczkę i gęś, a raczej dziesięć gęsi i dziesięć indyczek...

— Jakto kapitanie!... zabierasz z sobą mój drób?

— Sposób mówienia — nic więcej. Lada biedak może się podobnej ilości dochować. Gęsi pędzę do rzeki, indyki puszczam na trawę. W końcu roku mam dwieście gąsiąt i tyleż indycząt. Nic nie sprzedaję! — Na rok następny, każda gąska, wdzięczna za moją opiekę, wylęga mi znowu dwadzieścia piskląt. Tak samo spisuje się tkliwa indyczka. Jeszcze nie sprzedaję; czekam. (Proszę o sos!)

W tej chwili, stary kamerdyner Jędrzej wszedł na palcach, i szepnął Wilczkowi parę słów do ucha.

— Każ prosić — rzekł głośno pan domu — któż taki? — czy nie powiedział nazwiska?

— Nic więcej nie mówił.

— Mniejsza o to. Powiedz szynkarzowi, niech prosi do dworu. Dziwna rzecz!... łatwiejszem było przecie pałac niż karczmę wynaleść.

Służący odszedł.

Kapitan i hrabina topili w Wilczku ciekawe spojrzenie.

— Nie wiem — nie zgaduję — rzekł hrabia obojętnie. Szynkarz donosi mi, że jakiś jegomość — majętny jak się zdaje z zaprzęgu i przyborów, zajechał przed chwilą do karczmy i przysyła go z prośbą, abym raczył z nim się widzieć.

— Cudzoziemiec jaki zapewne — odparł Skałka — krajowcy wiedzą przecie, że u ciebie dla każdego wrota otwarte.

— Być może — albo też kupiec. Tego rodzaju ludzie mają zwyczaj skradania się do domów; szczerze wejść niemogą. Przekonamy się natychmiast.

— *Tarde veniente ossibus* — prawił kapitan — pani hrabina przebaczy, że mówię po łacinie. Przysłowie to wytłumaczone po polsku, znaczy, że gdyby obywatel, zamiast niepotrzebnych ceremonii, wprost był zajechał do dworu, byłby miał przyjemność zasiąść z nami do stołu; jego własna wina, jeżeli będzie musiał sam na sam spotkać się z obiadem.

— Co do mnie — przerwał Wilczek — wolałbym, aby gość był przyjechał wieczorem. Chcieliśmy z żoną wyjechać do pobliskiego folwarku, gdzie kazałem, aby wstrzymano się z robotą do mego przyjazdu. Nie lubię dawać na siebie czekać.

— Może też niema nic straconego; jeżeli podróżny dobry nasz znajomy, zabierzemy go z sobą.

— Zkąd wnosisz kapitanie, że jest dobrym znajomym? — byłby przecie zajechał.

Stary Jędrzej wkroczył znów do pokoju.

— Cóż — kto taki? — zapytał Wilczek — czy przychodzi?

Jędrzej uśmiechał się, milczał; widocznie chciał mówić i nie wiedział od czego zacząć.

— Mówże Jędrzeju! — rzekł Wilczek wesoło — ręczę, że jaka niespodzianka, jaki spisek, w który bodaj czy i ty kapitanie nie wchodzisz.

Skałka przecząc, ze zdumieniem wzruszył ramionami.

— Dalejże Jędrzeju! — idzie czy nie idzie? Kto taki — kazałeś go prosić do dworu?

— Mówiłem, że pan hrabia przy stole i że prosi do pałacu.

— I cóż odpowiedział?

Jędrzej wstydliwie spuścił oczy, kręcił w ręku serwetę.

— Mówże śmiało — jesteśmy przecież sami.

— Jeżeli pan hrabia każe...

— Każę i proszę.

— Odpowiedział...

— Cóż takiego?

— Kazał szynkarzowi powiedzieć, że pragnie przywitać się z panem hrabią w miejscu podobnem do tego, gdzie raz ostatni z nim sią pożegnał.

— I cóż więcej?

— Nic — dodał tylko, że czeka pana hrabiego w karczmie.

Wilczek roześmiał się na całe gardło.

— Wybornie — wyśmienicie!... figiel któregoś z dawnych towarzyszów. Trzeba przyznać, że nie zmęczył sobie głowy nad wynalezieniem intrygi. Czy szynkarz go nie zna— czy nie wie jak się nazywa?

— Przysięga, że go w życiu nie widział.

— Nierozumiem! — Ruszajże sam Jędrzeju, obejrzyj Jegomościa, i jeżeli który z naszych

znajomych — krótko a węzłowato — po żołniersku — przyprowadź do pałacu.

— Mam przeczucie, że to wymysł Juliusza — rzekł Skałka — chciał zapewne wyprawić ci jaką niespodziankę. Czekaj Władziu — jestem na drodze!.. Przypominam sobie teraz, że kilku z młodzieży uskarżało się Juliuszowi, żeś im nie wyprawił na wsi przenosin, żeś od nich także zaproszenia na bal nie przyjął, i że prędzej czy później muszą się z tobą pokwitować. Nie pamiętam, co Juliusz napomknął, ale zdaje się mi, że obiecywali wyprawić ci bal, u ciebie na wsi, w karczmie czy na folwarku, i zmusić cię do wypłacenia długu za gościa i za gospodarza odrazu.

— Otóż to cała tajemnica!... dziękuję ci za przestrogę kapitanie. Nie pozwolę wywieść się na lep; niech się cieszą i tańcują sami! Udam rozgniewanego i nie ruszę z miejsca, choćby mieli karczmę podpalić. Zobaczymy, kto kogo wyciągnie w pole?

— Przewyborna myśl! — dodał Skałka — udawajmy, jakbyśmy o niczem nie wiedzieli. Biedacy, przyjdą jak niepyszni zdać się na naszą łaskę.

— I wtedy, oddamy ich pod sąd mojej żony; wiem, jak im będzie. Ale ponieważ panowie ci przyjeżdżają z balem, niema zatem co czekać ich ze skromnym gospodarskim obiadem. Możemy wstać od stołu.

Towarzystwo powstało; Wilczek kazał podać fajki i podczas, gdy hrabina oddalała się do swoich pokojów, wyszedł ze Skałką przed dom, ciekawy powrotu Jędrzeja, a może też i sprobowania, czyli nie dostrzeże zdala śladów zasadzki, lub nie zdoła pochwycić nieroztropnie zapuszczoną placówkę jaką przyjacielskiego napadu.

Posunął się ku drodze, przeglądał między drzewami ogrodu ku karczmie; żadnego nie widział ruchu.

Skałka ze swojej strony skradał się od stajni, przymrużał powieki, wspinał się na palce, dłoń nad oczy przykładał — nadaremnie!

Wilczek machnął ręką ku Skałce, jak gdyby dawał mu poznać, że pomylił się w swoich przeczuciach; kapitan otwierał usta, wypuszczał gęsty kłąb dymu i zabierał się do odpowiedzi, gdy wtem, na zakręcie ulicy, od karczmy, pokazały się dwie postacie.

Pierwszą był wyprawiony przed chwilą Jędrzej; drugą, człowiek z pozoru dojrzałych lat, wysmukły, czarno i nie bez pewnego wdzięku od stóp do głowy odziany, i całkiem nieznajomego oblicza. Zdaleka przynajmniej, żaden z obecnych go nie poznawał.

Zjawisko to sprawiło na Wilczku niemiłe, choć w nadzwyczajny sposób pociągające wrażenie; przekonywał się wyraźnie, że przypuszczenia kapitana nie miały żadnej zasady, sam podszedł ku gościowi, ciekawy jak najprędszego wyjaśnienia zagadki.

Twarz bezwątpienia była mu znajomą, ale gdzie — kiedy?... nie mógł wspomnienia przywołać na pamięć. Dopiero, gdy podróżny stanął przed nim, gdy suchym głosem wyrzekł kilka słów pozdrowienia, Wilczek trafił na nazwisko, pobladł trochę i uchylając nieco rannej czapeczki, rzekł:

— Pan Kazimiezz Poraj!... zaledwie poznałem — od tak dawna nie miałem szczęścia... ale jakże zmieniony!... czy po chorobie?

— Tak jest, po długiej chorobie — z której dzięki Bogu, zupełnie już wyzdrowiałem; pierwszy też raz wyjeżdżam dziś między ludzi.

— Wdzięczny jestem — bardzo mi przyjemnie... Czy to pan, przed chwilą kazałeś wołać mnie do karczmy?

— Ja, panie hrabio, prosić kazałem.

— Czemu nie zajechałeś pan wprost do pałacu? Żona moja będzie rada go poznać; proszę z sobą.

— Uniżenie przepraszam, nie mogę przyjąć łaskawej ofiary. Nie mam wcale zamiaru pokazywać się w pałacu, sądzę nawet, że lepiej może nie uwiadamiać pani hrabiny o mojem przybyciu. Prosiłem pana hrabiego do karczmy, mam bowiem krótką sprawę do załatwienia, którą chciałem tam zakończyć, gdzie się rozpoczęła.

— Jakto — o co chodzi — w czem mogę panu służyć?... ależ tu, na podwórzu, niepodobna mi go przyjąć.

Kazimierz rzucił wzrokiem do koła; pierwszy raz znajdował się w tych miejscach, musiał atoli znać je doskonale z opisu, po chwilowym bowiem rozglądzie rzekł:

— Jeżeli pan hrabia nie odmówisz mi krótkiej rozmowy, możemy przechadzką udać się w tę oto, o ile się zdaje, mało uczęszczaną stronę ogrodu — ku laskowi nad rzeką. Będę starał się jak najmniej nadużywać jego cierpliwości.

Kazimierz dokończył mowy gestem; Wilczek zatoczył po nim błędnemi oczyma. Ciężar niewysłowiony przydusził mu piersi, krew zdawała się ścinać w żyłach. Nieubłagana, konieczna jakaś potęga owładła wolą jego i umysłem; słowa nie mógł wydobyć—oporu, pomimo chęci nie był w stanie postawić. Tajemnicza siła pchała go naprzód; odpowiedział skinieniem i z założonemi na piersiach rękami kroczył w wskazanym kierunku.

Skałka wiedział, że gość i gospodarz mieli z sobą do pomówienia sam na sam, nie mięszał się do rozmowy, zdążał atoli za nimi zdaleka, chcąc na każde zawołanie być gotowym do przyjęcia udziału w towarzystwie.

Wkrótce gęste klomby i drzewa zakryły im pałac, coraz mniej ludzi nastręczało się na oczy, stanęli wreszcie w ustroniu, gdzie żaden odgłos mowy ani kroków ich nie dochodził. Miejsce to było mało uczęszczanem, Wilczek nienawidził, nie mógł znieść jego widoku; na niem wznosił się niegdyś domek Nastusi.

— Jesteśmy sami—rzekł z wyrazem lekkiej niecierpliwości — nie mamy potrzeby zapuszczać się dalej.

— Tak i ja sądzę — odrzekł Poraj — możemy tu się zatrzymać. Sprawa moja mało zabierze czasu. Przypominasz sobie pan hrabia ostatnie nasze spotkanie?

— We Lwowie — na owem nieszczęsnem śniadaniu?... — rzekł Wilczek z bolesnem westchnieniem — pamiętam i przeklinam ten dzień; jest to jedno z wspomnień tej strasznej przeszłości, którą pragnąłbym wydrzeć z mojej i z każdego pamięci.

— Daremny trud, panie hrabio! — są wspomnienia, które z każdym dniem głębiej wpijają się w pierś i dopóty dręczą, póki się ich wraz z sercem nie wyrwie. Ciężko znieważyłeś pan człowieka, który nigdy nie zaszedł mu w drogę.

— A którego winienem był ogłosić się pierwszym przyjacielem — pochwycił Wilczek z szczerym zapałem — którego powinienem był umieć poznać, jako później poznałem zacnego jego brata.

— Nie widzę konieczności — poznawanie ludzi nie jest żadnym obowiązkiem. Nieznajomy tak dobrze jak i przyjaciel używa prawa osobistej niepogwałcalności. Postąpiłeś pan hrabia wedle upodobania, jak zwykł postępować człowiek, który przyjmuje wszelką odpowiedzialność za każdy swój uczynek.

— I Bóg świadkiem, że choć gorzko żałowałem tego co zaszło, nie cofałem się przed odpowiedzialnością. Czekałem — byłem gotów na wszystko.

— Niewątpiłem na chwilę o gotowości i dotąd nie wątpię; do pokrzywdzonego atoli należy dowolny wybór pory.

— Dziś—przerwał Wilczek z pośpiechem—tyle już upłynęło czasu! Wyobrażenia moje tak dalece się odtąd zmieniły — całkiem nawet przeciwny wzięły kierunek. Co wówczas powinienem był uczynić, dziś z rozkoszą powtórzę. Powiedz pan, jakiego żądasz zadowolenia?... Jedźmy do Lwowa, zbierzmy wszystkie obecne przy wypadku osoby, dodajmy rój dawnych i nowych znajomych i nieznajomych, jacy nam pod rękę podpadną. Wobec wszystkich szczerze, otwarcie wyznam szaleństwo mego postępku, ocenię go surowiej, niż najostrzejszy sędzia, poddam się pod wszelkie warunki, byle tylko zagładzić pamięć bolesnej winy. Życie człowieka na tyle przydać się może!... bluźnierstwem marnotrawić je na grę głupiego przypadku. Niechaj opinja przeciw mnie teraz się obraca; inne mam sposoby, któremi potrafię wydrzeć jej żądło!

— Opinja, panie hrabio?... nigdy nie zwróciłem na nią uwagi. Pogardziłem jej poświstem wówczas, gdy lekceważenie jej sądów pociągało za sobą zagubę mojego szczęścia, los kilku osób. Dziś, gdy niczego od życia nie żądam, gdy niczego nie żałuję, niczego się nie spodziewam, dziś, dla najwyższych tryumfów opinii, nie zerwałbym zielonego tego listka. Dążę tam, gdzie pędzą mnie własna chęć i własne przekonanie. Był czas, w którym pan hrabia nie odmówiłeś sobie przyjemności nieusprawiedliwionej zniewagi; dziś, nie odmówisz zapewne należytego zadośćuczynienia.

— Dziwne spotkanie!... Nie pojmuję powodów, dla jakich odrazu, na miejscu, nie przystąpiłeś pan do zakończenia sprawy.

(Dokończenie nastąpi).

35 **KROAZY.** KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. **TOWARY NORYMBERSKIE.** Przybory do gorsetów i Towary doborowe damskiej konfekcyi. Wybór wielki. Ceny najniższe. Poleca: **Antonina Plichta** ul. Ś-to Krzyska Nr 8.

MAGAZYN **MEBLI A. JÓZEFOWICZA** 98 **Nowy Świat Nr. 28.** Życzącym ***na Raty.***

Łyżki, widelce, noże, oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem po cenach możliwie nizkich **TEOFIL PYCZ** 21 4, Miodowa 4, w arszawie.

Znacznie powiększona

BIESIADA

LITERACKA ILLUSTROWANA

DLA RODZIN POLSKICH.

Redaktor Władysław Maleszewski.

W Warszawie rocznie: **5 rs.** a z dodatkiem rb. 6.50.

Z przesyłką rocznie **6 rs.** a z dodatkiem rb. 8

Powieści, podróże, sztuki piękne, wiadomości z literatury, biografii, pedagogii, chwili bieżącej, polityki, z naszych miast, wsi, z zagranicy. Rebusy, szarady i t. p. rozrywki. Liczne illustracye wypadków w kraju i zagranicą. Kopie obrazów, rzeźb, krajobrazy, pomniki, portrety, zabytki przeszłości. Spółpracownictwo znanych literatów i artystów. **Premia bezpłatne do wyboru:** Książki, obrazy kolorowane, między niemi Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, Rozkosze dziadunia, W polskim lesie, portrety Sobieskiego, Czarnieckiego, Jadwigi, X. Skargi, J. I. Kraszewskiego, Mickiewicza.

DODATEK DO BIESIADY OBEJMUJE:

WYBÓR PODRÓŻY I POWIEŚCI Z RÓŻNYCH EPOK I KRAJÓW.

Czytelnik rozszerza lub odnawia swą wiedzę, przez przypomnienie faktów dziejowych.

Prenumeratę nadsyłać można rocznie, półrocznie, kwartalnie. ☞ Prospekt i numer okazowy wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26.

Sztuczna Cerownia i Pralnia
FIRANEK i KORONEK
Teofili Zalewskiej
103 Królewska 45—12.

Zakład Stolarski
D. SIARKIEWICZA
w Warszawie,
Grzybowska Nr. 62.
Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe, budowlane, urządzenia sklepowe i t. d. Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 10

KREMINA do farbowania firanek, koronek, wstążek i batystów na kolor kremowy — Cena torebki 5 kop. Dostać można we wszystkich składach Aptecznych. 126

Broszki, Bransolety, Kolczyki
Pierścionki, Spinki, Szpilki
i t. p. poleca 27
Magazyn i Pracownia Jubilerska
J. LIPOWSKI i S-ka
TRĘBACKA 9.
Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne.

JAN REIMANN

Fabryka biżuteryi i ozdobnej galanteryi



z Czeskich granatów.

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście №. 43.

Fabryka i skład główny w Pradze (Czeskiej) Příkopy 10.

Filje: w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu, Karlsbadzie, Cieplicach. 113

Portrety olejne

Ludzi Znakomitych:

Królowej Jadwigi, Sobieskiego, Stefana Czarnieckiego, Ks. Skargi, J. I. Kraszewskiego

Każdy rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50. Pięć portretw razem rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 50.

Cykl obrazów kolorowanych, pod ogólnym tytułem

Błogosławieństwo temu domowi:

Ojcze nasz. Zdrowaś Marya. Wierzę w Boga.
Każdy po rs. 1 kop. 50.

Obraz kolorowany *Fr. Kostrzewskiego* **Rozkosze dziadunia** rs. 1.

Nabywać można w Administracyi Biesiady Literackiej,
Warszawa, Chmielna 26
oraz we wszystkich księgarniach.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

Zofii ŁĘCKIEJ

HOŻA 27, m. 22,

Wykonywa wszelkie roboty po bardzo niskich cenach.

UWAGA — 5 ŻABIA 5 — UWAGA

ROMAN DĄBROWSKI

POLECA

NOWOŚCI na sezon jesienny i zimowy

Kapelusze damskie i dziecinne ubrane oraz fasony. Czapeczki, mufki i naszyjniki futrzanne najświeższych fasonów.

Ceny fabryczne. 127

Zawiadamiam Rodziców i Opiekunów, że z upoważnienia Władzy Naukowej otwieram **przy ulicy św. Barbary Nr. 10** (między Zórawią i Wspólną, wprost kościoła na Koszykach)

2-klasową SZKOŁĘ MĘZKĄ
z klasą przygotowawczą

Do klasy wstępnej przyjmuje chłopców, którzy ukończyli 7 lat, bez umiejętności czytania i pisania.

Zapisy odbywają się codziennie od godziny 10—3. Lekcye rozpoczną się dnia 13 (25) września.

Szkoła przygotowuje uczniów do realnych szkół rządowych, filologicznych gimnazistów i szkoły komercyjnej W-go Ronthalera. 130

KAROL SCHULZ

SZKOŁA RĘKODZIELNICZA DLA KOBIET
K. Mączyńskiej
Mazowiecka 11 m. 8.

Przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki na krój, szycie krawieczyzny i bielizny, haft biały, kolorowy, złotem i srebrem. Malowanie, wypalanie, rysunki, pończosznictwo, roboty włóczkowe, stroje, koszykarstwo. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa z cechu krawieckiego. 100

Program na żądanie wysyła się.

Pierwszorzędny magazyn pościeli
A. DREXLERA

Nowosenatorska 2, wprost Hotelu Rzymskiego 121

poleca w wielkim wyborze: Kołdry wełniane, atłasowe wojłokowe. Materace sprężynowe, włosiane i waldharowe. Poduszki z pierza i puchu. Dywany strzyżone. Kapy na łóżka, oraz bieliznę pościelową. Koce Grefembergskie do wodnej kuracyi.

Uwaga. Obstalunki wyprawne pościele, oraz listowne zamówienia z prowincyi, załatwiają się pośpiesznie i dokładnie po możliwie niskich cenach.

W Zakładzie Naukowym-wychowawczym VI klas. żeńskim z klasą wstępną

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 2, I-sze piętro
(wprost Kopernika)

Zapis i egzamin nowych uczenic odbywa się codziennie od 9-ej do 2-ej. 47